Warszawa, dnia $\frac{3}{15}$ Maja. № 16. Rok 1862.

Kwartał IIIci. Istnienia rok 2gi.

PRZYJACIEL ZDROWIA.

„Źródłem szczęścia, pomyślności i potęgi każdego narodu, jest ludność i jéj zdrowie."

Cena *w Warszawie rocznie* Rsr. 4. *Półrocznie* Rsr. 2. *Kwartalnie* Rsr. 1. *Na Prowincji i w Cesarstwie* za pośrednictwem Poczty bez kopert *rocznie* Rsr. 4 kop. 93; *półrocznie* Rsr. 2 kop 46½.—Prenumeratorowie z *Cesarstwa* obok opłaty Rsr. 4 kop. 93, dopłacają jeszcze na koperty rocznie Rsr. 1, półrocznie kop. 50; ci zaś co już prenumerują inne pisma w kopertach, nie ponoszą już tego wydatku. — Prenumerować można w Warszawie, we wszystkich księgarniach i kantorach. Redakcja w Warszawie, róg ulicy Chmielnéj i Marszałkowskiéj Nr. 1559*b*, w mieszkaniu Dra *Gregorowicza*. — Przyjaciel Zdrowia wychodzi co dni 15, t. j. 1 i 15 każdego miesiąca. — Pojedynczych numerów nie sprzedaje się.

TREŚĆ NUMERU.

PRAKTYKA LEKARSKA
MIĘDZY LUDEM WIEJSKIM
i
POSŁANNICTWO LEKARZA LUDU

skreślił Dr. H. Szopowicz.

„W prostém wieśniaczém plemieniu, spoczywa zaród wszystkich wielkości narodu."
Zyg. Krasiński. Listów. t. I. str. 40.

W żadnéj warstwie społeczeństwa, praktyka lekarska nie jest tak utrudniona, a razem tak powikłana z niezliczonemi przeszkodami, tyle doznająca zawad i oporu, nieraz pomimo najlepszych zamiarów i chęci, pomimo bezinteresownéj gotowości w udzieleniu pomocy i rady, jak między ludem wiejskim naszego kraju. Przypatrując się bliżéj codziennemu życiu wieśniaków, mając przed oczami prace i znoje, jakie ze społecznego stanowiska podejmować w świecie muszą; gdy wreszcie skrupulatnie się roztrząsa i ocenia ich umysłowość *(inteligencję)* i gdy to wszystko w samém ognisku żyjącego ludu bezstronnie się rozważa, do tego ostatecznie przychodzi się wniosku: że te *zawady* i *trudności*, jakie się napotyka w zastosowaniu rady lekarskiéj między ludem wiejskim pochodzą z przyczyn, które do następnych zredukować i przywieść należy kategorji:

1) *Lekceważenie sobie rady, jaką lekarz włościaninowi bez ścisłego rzeczy obejrzenia udziela.* Pominąwszy te wsi i majątki szczęśliwe, gdzie włościański jest szpital, gdzie go bez wszelkiéj pretensji i wymagań, troskliwość dziedzica utrzymuje, gdzie wieśniak na zawołaniu ma radę i lekarstwa: wyznać musimy, że lekarz wśród ludu wiejskiego bardzo rzadkim jest gościem. W przelocie swoim od dworu do pałacu, jeśli zawadzi czasem o chłopka, co mu stanął na drodze, jeśli w tym pośpiechu spekulacyjnego trudu i fachu, przyjdzie włościaninowi radę udzielić, zwykle rumiankiem, kataplazmatem, lub gorzką zbywa go solą. — Postępowanie to, nader często na wsi powtarzające się, nie przynosząc włościaninowi żadnéj ulgi, odejmuje mu i studzi chęć udania się o poradę do lekarza. Niemało się téż przyczyniło, że wieśniak coraz mniéj zaufania i wiary do rady zawołanego w okolicy doktora przywięzuje. Ciężkie to przewinienie w posłannictwie lekarza, niczém się usprawiedliwić nie daje; bo ono osłabia i niszczy *zaufanie ludu:* zaufanie, które tylko fakt uzdrowienia, *fakt skutecznéj rady* jest w stanie wywołać; bo tym tylko spo-

sobem do przekonania wieśniaka przemówić i trafić można.

2) *Ograniczone i zbyt nizkie rozwinięcie władz umysłu (intellektualizmu)* przy niém bowiem włościanin nie może mieć wyobrażenia o wartości światła naukowego. I dla tego zdaje się każdemu z nich, że lekarza w swoim zawodzie biegłego, nie specjalna formuje nauka, jako raczéj dar Boży na świat daje i przynosi, z gotowemi już usposobieniami i wiadomością rzeczy. Ztądto, chętniéj wierzy wiejskiéj babie, kostoprawie i znachorowi (wróżbicie), woli poprzestać na radzie cyrulika żydka z pobliskiego miasteczka, niż udać się do lekarza; którego lekceważeniem i obojętnością zraził się i zniechęcił. Co więcéj: włościanin przy tym szczupłym zasobie wiedzy i świadomości rzeczy, staje się obojętny, nieczuły i mało o siebie dbający. Wszystko, cokolwiek go spotyka w życiu, zaraz zdaje na Bożą wolę i wśród nieszczęścia równie jak podczas choroby najdroższéj mu osoby, zamiast się ratować i krzątać, obojętnie *czeka swego przeznaczenia*. Zwątpienie to prowadzi go do bezczynności, do opuszczenia się tam, gdzie właśnie lekarskiéj rady skuteczność; od troskliwości i współczucia rodziny w chacie, zawisła. Zwykle więc pomimo najlepszéj nieraz rady, pomimo stanu choroby pełnego jeszcze nadziei, umiera i ginie chory, gdy jeszcze życie jego można było ocalić.

3) *Przesądy wieśniacze*, pozostałe spuścizną z czasów bałwochwalczych, pogańskich, uświęcone wiekami swego istnienia, w zwyczaj zamienione i do chrześcjańskiéj dziś, w umyśle wieśniaka przyczepione wiary. — Zajmujące tych przesądów szczegóły przywodzić tu, byłoby wyjść za obręb niniéjszego pisma; odsyłamy więc ciekawych do pism (1) wyłącznie o tém traktujących. Tu tylko dodamy, że te przesądy są właśnie źródłem ślepéj w *przeznaczenie* wiary, która jak dopiero powiedzieliśmy, prowadzi do opuszczenia i obojętności. A jak wieloletnie w obejściu z ludem przekonało mię doświadczenie, wszelkie w tym względzie z naszéj strony nastawanie, razi ich i zniechęca. Musimy się więc ograniczać na wyliczaniu tego, co w obecném cierpieniu szkodzi i radzie jest przeciwne; a co w gruncie rzeczy jest jego przesądem. — Uprzątnąć tę zawadę może tylko *oświata*, wnikająca powoli w przeświadczenie ludu; a w miarę zdrowszych coraz wyobrażeń, ich wiedzę i tém samém sąd o rzeczy, sąd o własném ich zdrowiu, rozjaśniająca. Chwila obecna pełna usiłowań i zabiegów, zatrudniająca kraj cały, jest właśnie tą światła jutrzenką, co stając się wstępem do pomyślności ludu naszego, nie mało zarazem, i do jego przyczyni się zdrowia.

4) *Sposób życia ludu wiejskiego*. Żeby mieć w jednéj całości, ogólny na ten tu przedmiot zebrany pogląd; zwrócić musimy uwagę, że *sposób życia* jak każdego w społeczeństwie człowieka, tak równie u *ludu naszego* zawisł i wynika: a) z natury prac rolniczych, które są życia jego osnową; b) z nałogów i zwyczajów, które już wieśniak w tryb życia swojego wcielił; c) z zamożności, czyli dobrego bytu włościanina.

a) Prace rolnicze z pomiędzy zajęć ludzkich, wymagających użycia sił fizycznych, a zatém z pomiędzy rękodzieł i fabrycznych robót, *najwięcéj sprzyjają zdrowiu*. Wszelako, będąc téj natury, że się w danym czasie załatwiać i ukończać muszą, a dla koniecznego, bo od pór roku zależnego następstwa, że bez uszczerbku w gospodarstwie, odroczone lub spóźnione być nie mogą: nastręczają z tego względu niemałe w leczeniu ludu wiejskiego trudności i przeszkody. Z téj bowiem właściwości czyli natury prac rolniczych wynika, że włościanin czynny i pracowity, nie ma czasu chorować. Zaledwie bowiem pięć miesięcy (od Października do Marca) w roku, swobodniéjszą znalazłby ku temu porę. Gdy bowiem wiosenna zejdzie jutrzenka, gdy nadejdą *żniwa*, to polskie winobranie, przeszło dwa miesiące (od Lipca do Września) trwające; wówczas każdy w tym

---

(1) Z dzieł znanych mi w tym względzie, są: Ant. Nowosielskiego „*Lud Ukraiński*" wydane w Wilnie 1855 r., oraz Dra Erazma Majewskiego rozprawa, „*O przesądach wieśniaczych*" uwieńczona nagrodą.

przestworze dzień, każda tego czasu chwila jest niezbędnym dla niego materjałem do przysposobienia tych plonów i korzyści, jakie mu do wykarmienia się i życia w tymże roku starczyć mają; wówczas więc nie ma czasu chorować. Głównym pod tę porę interesem rolnika jest pośpiech w robocie; w ślad za tém iść musi natężenie i wyczerpywanie sił fizycznych. Do tego jeśli jeszcze dodamy ów skwar słońca, pod którego bezpośrednim wpływem zmuszony jest podówczas całodziennie zostawać, będziem mieli źródło, jak z jednéj strony licznych chorób, tak z drugiéj licznych zawad w leczeniu wieśniaka zachodzących. Z tego właśnie źródła pochodzą *poronienia*, *udary* i *paraliże*, tak częste w porze żniw; *kiły* (herniae), *rozszerzenia żył*, *zatchnienia* (asmata), *opadnienia maciczne*, *ślepoty* (amblyopia amaurotica), tu swój początek mające, a które to choroby dla braku czasu, w samym zarodzie zaniedbane, stają się przyczyną powszechnych na wsi i do organizacji włościanina niemal przywiązanych *kalectw*, na jakie już późniéj rada lekarska przy trwaniu tych samych przyczyn, ani ulgi przynieść, ani radykalnie działać nie może.

b) Jak dalece *nałogi wieśniacze* niczém nieprzeparte, już dziedzicznie zakorzenione, przeszkadzają i są na zawadzie w zastosowaniu pomocy lekarskiéj, o tém przekonywa bliższy z ludem wiejskim stosunek: o tym wié każdy dom obywatela ziemskiego, co z udziału współczucia, pragnął nieść ratunek i pomoc swojemu włościaninowi. Pominąwszy przeto drobniéjsze *nawyknienia*, dość będzie wspomnieć *nadużycie wódki*, bez którego żaden świąteczny dzień, żadna uroczystość wiejska obejść się nie może. Bez wódki nie ma na wsi tak pogrzebu jak narodzenia dziecięcia i jego chrzcin; nie ma wesela, po którym zwykle państwo młodzi zmęczeni i upojeni, przy pierwszém zbliżeniu prawie nieprzytomni, w takim stanie sił fizycznych i usposobieniu moralném, początek dają przyszłemu pokoleniu. Słowem, wódka pochłaniając najznaczniéjszą część zamożności włościanina, przyprowadza go do niedostatku i nędzy, a odejmując mu siłę moralną ducha, prowadzi go do zbydlęcenia i kretynizmu. Cóż więc pomoc lekarska zrobić może, gdy w zbiegu dwóch takich potęg bezprzestannie swój wpływ wywierających, znajduje się chory? Gdy te potęgi wyniszczyły jego ciało i skołatały ducha, wtrącając go w przepaść zobojętnienia. Przy tym głównym nałogu, mniéj są znaczące zawady, jakie w leczeniu nastręcza i wywołuje zwyczaj wożenia chorego do spowiedzi do pobliskiéj cerkwi bez względu na porę roku i czas; zachody przygotowawcze w chacie gdy chory jeszcze żyje, a może to wszystko widzi i czuje; nałogowe puszczanie krwi na wiosnę, bez względu na wiek, siły i stan chorego lub choréj, chodzenie do późnéj jesieni i wczesną wiosną bez obuwia. A teraz: ile to zawodów przysparza ów zwyczaj wieśniaków naszych, budowania chat ciasnych, nizkich z małemi i nieotwieranemi oknami; trzymanie chlewni, bydła i drobiu w szczupłéj sionce tuż obok mieszkalnéj izby, co do reszty zanieczyszczają i zarażają powietrze, ten najgłówniéjszy *element* życia. Ile to chorób, śmiertelności dzieci i matek, wywołuje zwyczaj *obchodzenia chrzcin* zaraz po połogu, w tém samém miejscu, gdzie dopiero co narodzone dziecię i położnica leży? Dość zbliska się temu przypatrzyć, żeby dotykalne powziąć wyobrażenie, jakie ztąd lekarz w leczeniu wieśniaków napotyka przeszkody. Świadom jest tego każdy obywatel, co troszczy się o lud wieśniaczy i na rodzinnéj swojéj żyje zagrodzie; nieświadomych i ciekawych w tym względzie, do wieśniaczéj odsyłamy chaty. — Wszystko to wszakże złe i nieprzyjazne zdrowiu, nie jest jednym nałogów i zwyczajów ludu naszego wypadkiem; niemniéj bowiem zawisło ono od dobrego bytu, czyli większéj lub mniéjszéj zamożności, w jakiéj znajduje się włościanin.

c) Bo *zamożność* ludu naszego, w ogóle mówiąc szczupła i ograniczona, przy któréj zaledwie najprostszym i że tak powiem elementarnym potrzebom swoim i rodziny podołać może, źródłem jest, że włościanin nie może miéć i nie ma chaty, jednem słowem mieszkania, odpowiedniego potrzebom zdrowia i życia. Owszem

jest ono nieomal w każdym względzie sprzeczne z warunkiem zdrowia, z warunkami czerstwości, rodzącego się i wzrastającego pokolenia. — Nie ma jak się należy przyrządzonéj i potrzebnéj co do ilości i w porę strawy, rzadko używa posilnych, jak mięso, pokarmów, którego przemiana z jarzynami, taką w siłach fizycznych przynosi korzyść i harmonją. Nieraz wśród żyznego jak Polska kraju, żyznego ze swego zbożowego klimatu i ze stosunku ludności do rozległości urodzajnéj ziemi, w którą zaopatrzył ją Bóg, cierpi niedostatek pokarmu. A mianowicie na tak zwanym *przednówku*, przez ciąg którego, przez cztery miesiace (od Maja do Sierpnia) coraz dolegliwszego braku strawy doznając, traci cerę, wątleje i w końcu ulega skorbutycznym cierpieniom, którą nie lekarz, ale *zapomoga dziedzica* uleczyć jest w stanie i leczy. — Nie ma odpowiedniego porze jesiennéj i zimowéj *odzienia*, ztąd właśnie tyle chorób z przeziębnienia, przemoczenia, przewiania i od słonecznego skwaru pochodzi, pomimo, że od dzieciństwa do życia pod gołém niebem przywykł. Nie ma dostatniego obuwia, więc z wczesną już wiosną i w póznéj jesieni, dla oszczędzenia go, chodzi boso, co właśnie sprowadza i zrządza *wrzody odnóg dolnych* tak u nich powszechne, a tak mozolne i trudne do uleczenia. Na to wszystko nie ma zasobnego funduszu, rzadko u którego znajdzie się gotowy grosz, coby co dopiero wspomnione mógł uprzątnąć potrzeby. Musi więc poprzestać na tém, co ma, czemu podołać mogą jego materjalne środki i z tém się zgodzić. Ale nie idzie zatém, żeby lud nasz nie miał, nie znał i nie czuł potrzeb wygodniéjszego życia, jak to wiele utrzymuje osób. Nie zbyt odległy czas, przy dzisiejszéj zmianie stosunków włościańskich, pokaże nam to i wyświeci.

Przy tychto warunkach nieodłącznych od obecnego dziś bytu i cywilizacji włościanina, rada i pomoc lekarska musi się w niwecz obracać, a rozmaicie przekształcana, marnieje i dla tego téż odpowiednich celowi nie przynosi korzyści. Poradziłeś wieśniakowi, nie ma lekarstwa; znajdzie się lekarstwo, czasu niedostaje; jest lekarstwo i czas, nie ma w chacie potrzebnego spokoju i miejsca; jest miejsce, nie ma stosownéj dla chorego strawy; i to się znajdzie, nie ma komu około chorego chodzić; gdy wreszcie wszystko szczęśliwym zbiegło i złożyło się trafem, chory tym zabiegom mało co wierzy i ufa. Przyszła ci chęć zobaczyć, co dzieje się z pacjentem, zastaniesz go w lecie przed chatą, pod wpływem promieni słońca, na słomianym leżącego barłogu, a w porze zimowéj za piecem na przyźbie, bo tam chociaż duszno i ciemno, ale ciepło i gorąco. Nie brał lekarstwa, bo pierwsze użycie nie przyniosło ulgi, tam więc czeka polepszenia, które z Bożéj woli samo przez się nastąpić powinno. Gdy gorączka dotrawia jego siły, wodą żar gasi; gdy to nie pomaga, wiejska lekarka wódczanym całego naciera smarowidłem; szczęśliwy, jeśli mu jeszcze spirytusowego dla pokrzepienia sił, nie podała napitku. Gdy się widocznie stan chorego pogorsza, gdy już w chacie osądzili i uznali, że umrze, na wozie podesłanym sianem lub słomą, wiozą chorego do spowiedzi do pobliskiego kościoła. Po téj podróży, gdy jeszcze słabszym widzą chorego, szyją śmiertelną koszulę i robią przygotowania do pogrzebu, wśród płaczu żony za mężem, matki za synem, córki za ojcem, wśród płaczu drobnéj za starszemi dziatwy. A to wszystko w téj saméj dzieje się izbie, gdzie chory leży i dogorywa i wśród takiéj ostatniéj sceny dramatu życia, kona.

Taki jest obrazek zgonu wieśniaka codziennie się po chatach przedstawiający, zdjęty w chwili pełnéj ruchu i boleści, któréj nieraz naocznym zdarzało się nam być świadkiem. W nim téż wyraziście przywiedzione wyżéj odbijają się zawady, które na wsi niemałą liczbę ofiar pochłaniając, lud wiejski wypleniają i dziesiątkują wtenczas, gdy najgłówniéjsze z warunków, sprzyjają pełnemu sił i czerstwości życiu.

Jak ważne więc, nieodzowne i jak w swoim wpływie rozległe byłoby *posłannictwo lekarza na wsi*, co ze współczuciem do ludu wiejskiego

umiałby z niego wytworzyć szereg powinności i obowiązków mieszczących się w tém posłannictwie lekarza, który by to brzemię pracy wziąwszy na się, ***zbliżył się i rozżył między ludem***, który by jego wiarę i zaufanie pozyskać zapragnął i z takim na myśli celem, między ludem osiadł i zamieszkał, ten tylko wyrozumiéć potrafi, kto zbliska znając lud wiejski, powziął dokładne wyobrażenie jego fizyczno-moralnych niedostatków. Zwróćmy się więc myślą i obejrzyjmy to ***stanowisko lekarza ludu***, lekarza wyłącznie ludowi wiejskiemu poświęconego, bo to tylko stanowisko w swoim rodzaju jedyne, odrębne, niczém się zastąpić nie dające (1), rozległemu interesowi ludzkości o lud wiejski, odpowiedzieć i zadość uczynić by mogła.

Z osnowy życia wiejskiego, ze stosunków, jakie w naszym kraju wieśniaka z panem jednoczą, dziedzic wsi był zawsze najbliższym ludu wiejskiego opiekunem. Tego ludu zdrowie obchodzi go z pobudek ludzkości i razem jest jego materjalnym interesem. Dlatego też w każdéj niemal najszczuplejszéj zagrodzie obywatelskiéj, pani domu z pełném współczucia sercem, troszczy się i krząta około zdrowia włościan i niejeden w tym celu grosz, dwór niesie w ofierze. O ile zamożność potrzebie środków starczyła, doświadcza wieśniak pomocy i ulgi w chorobie. A przy łatwém i częstém obcowaniu z dworem, staje się łagodniéjszy w obyczajach i obejściu, nabiera rozległéjszéj świadomości i powoli otrząsa się z przesądów.

Obszernych, a jeszcze rozrzuconych majątków, dziedzic porwany prądem daleko sięgających stosunków familijnych, lub wymagań krajowych, przebywający za domem, lub jak zwykle za granicą, nie ma dość czasu, ani sposobności, żeby się zbliżyć i poznać mieszkańców ziem swoich. Zazwyczaj przeto, bezpośredni stosunek wiejskiéj gromady, jak dotąd bywało, zdawał w ręce administratorów i zarządzających dobrami. A ci wraz potrzebną liczbą członków administracyjnych załatwiali żądania i prośby włościan i zarazem byli dla nich trybunałem i wykonawczą sprawiedliwości władzą. Każda z tych osób przywykła uważać wieśniaka *za duszę skarkową* (2), tę duszę do ziemskich nagliła powinności (pańszczyzny), wszelkiemi cisnęła ją sposobami do uiszczenia się z wypłat rządowych i prywatnych; nieświadomość téj duszy na własną nieraz obracając użytek i korzyść. Tych wszystkich osób boi się wieśniak, nie ufa im, nie wierzy, jedném słowem, nie lubi; dla tego za obrębem wymagań i rozkazu, żaden go stosunek z tą władzą nie łączy. Zaprowadzony w dobrach szpital, utrzymywany kosztem dziedzica, dowodném jest świadectwem opieki o swoich włościanach; przy tym wszakże składzie rzeczy, przy tém rozdwojeniu moralném i przy zwykłém odrywaniu się lekarza, goniącego za korzyścią, nie dość przeznaczeniu swemu odpowiada, bo wieśniak bał się szpitala i od niego stronił.

W dobrach rządowych zakreślona instrukcja zdrowie ludu wiejskiego nie ubezpiecza, bo środkom pomocy lud wieśniaczy nie ufa i z nich nie stara się korzystać.

W tak trudnym do pogodzenia zbiegu potrzeb i wymagań, powiązanych z naturą rzeczy administracyjno-gospodarskich, który pomimo zmiany stosunków włościańskich i ducha czasu, może tylko postęp oświaty ludowéj rozwikłać, lekarz na wsi, ***wyłącznie ludowi wiejskiemu poświęcony***, nic od wieśniaka nie żądający, nie wymagający, nie wywierający nań prawa przymusu, byłby tą figurą, z którą oswajając się i zaznajamiając codziennie więcéj, musiałby wre-

(1) Dziś, kiedy lud wiejski tak słabą ma w lekarza ufność, kiedy dlaniego nie małą jest przykrością opuszczać chatę i leczyć się w szpitalu na gruncie będącym, w obecnéj potrzeb społecznych chwili, nie należy brać za jedno lekarza ludu, a lekarza swoim wyłącznie szpitalem zajętego. Bo jakkolwiek obydwóch ten sam życia zbliża zawód, dalecy są jednak od siebie posłannictwem, jak to poniżéj zaraz zobaczymy.

(2) To jest za istotę, wyłącznie do obowiązków pańszczyźnianych, do produkcji rekruta i opłaty podatku, przeznaczoną.

szcie wieśniak potrzebę jego społeczeństwa i wartość jego towarzystwa uczuć. Nie widząc w nim zwierzchniéj władzy, nie miał by potrzeby używać obłudy, chytrych przebiegów i kłamstwa, tak już do przywar wieśniaka naszego wcielonych. Częstém wśród choroby obcowaniem ośmielony, przyszedłby do wynurzenia swoich trosk i doli, któréj nie ma ani komu wynurzyć, ani z kim podzielić. A gdyby jeszcze doświadczył współczucia i znalazł w nim otuchę, musiałaby się wreszcie wytworzyć moralna w takiego lekarza wiara i zaufanie, co sobie zjednać i między ludem pozyskać, nie tak to łatwo przychodzi.

Wtenczas nietrudno byłoby lekarzowi rozpowszechniać przestrogi, dotyczące codziennego ich życia; przypominać, co ich zdrowiu sprzyja, a co szkodzi; dotykalnie w nadarzonych wypadkach wyświecać szkodliwość pijaństwa i wpływ jego na własne potomstwo. Zostając w bezprzestannym stosunku z ludem, wskazywać mu potrzebę większéj staranności i zabiegów około utrzymania własnego domostwa, zaprowadzenia w niém wygód zdrowiu potrzebnych i uprzyjemniających życie. Wpływem własnego postępowania, wdrożenia ich w łagodniéjsze obejście z kobietą ciężarną, będącą w połogu, karmiącą, z dziećmi i z choremi w chacie. Przekonywania ich przy nastręczonéj sposobności, że do czego zabobonną przywiązują wartość i temu ślepo wierzą, nie przynosi to zdrowiu korzyści, a nieraz szkodzi, i tak otrząsania ich powoli z wielu szkodliwych przesądów. Przy wypadkach pozornéj śmierci z utonienia, oczadzenia, zmarznięcia, uderzenia piorunowego i t. p. wypowiadania im najprostszych na razie sposobów, ratowania się. Rozpowszechniania wiadomości o użyciu roślin lekarskich, rosnących pod bokiem, zasiewania innych, co wymagają staranności ogrodniczéj. Udzielania jasnych wiadomości, dorastającéj wiejskiéj młodzieży, o zarazie wenerycznéj, jéj następstwach i spustoszeniach; o szerzeniu się świerzbu (scabies), o epidemji cholerycznéj, słowem, rozpowszechniania wiadomości ich właśnie potrzebie i inteligencji odpowiednich, coby zebrane w jednę całość, były i składały praktyczną *hygienę ludu.*

Wszystko to wyrzeczone z ust lekarza, wypowiedziane z całą znajomością narzecza ludu, w odpowiedniéj porze, w sposób życzliwéj rady, poparte skutecznêm i pomyślnêm w praktyce następstwem, nie mogło by się nie przyjąć, rozkrzewić i do rozjaśnienia ich wiedzy nie przyłożyć. Błędnie ten twierdzi, kto mniema, że wszystko to ludowi wiejskiemu wypowiedziane, jak jedném wleci tak drugiem na świat rozpierzchnie się uchem, że to wszystko jest tylko daremnie o ścianę rzucony groch. Kto tak sądzi, nie pojmuje, że słowo prawdy z ust wyrzeczone, ożywione przeświadczeniem mówiącego, magnetyczną, że tak powiem, posiada siłę, mocą któréj, takiego słowa istota i treść ciśnie się do duszy słuchającego i nowych myśli daje początek. Kto tak sądzi nie wié, że lud nasz wiejski, gdy co posłyszy nowego, a instynktowo przeczuje w tém prawdę, zaraz to u siebie przerabia, szeroko nad tém rozprawia, zwykle w karczmie, gdy wódka jeszcze mu władz umysłu nie zwichnęła, lub wieczorem przy łuczywie, wśród rodziny i sąsiadów i przy każdém zebraniu się, jakie nastręczają wiejskie uroczystości. Co posłyszał, to stosuje i przymierza zaraz do swoich pojęć, nałogów i przesądów, śledzi korzyść lub upatruje fałsz i chytrość, skupiając naoczne i dotykalne z doświadczenia powzięte dowody. I tak myśl posłyszaną rozmaicie naginając, albo ją przyswaja i w siebie wciela, albo jéj nie wierzy i odrzuca.

Tym trybem przez lekarza rozsiane, krzewiłyby się między ludem wiadomości od przesądów wolne, zdrowe, pełne prawdy i pożytku. Wiadomości, co ściśle z interesem jego zdrowia powiązane, są mu nieodbicie potrzebne, a które zkądby mógł zasięgnąć i zaczerpnąć, nie ma dotąd sposobności i nieskażonego źródła. Zapas tych wiadomości zwiększając się codziennie, rozjaśniłby widnokrąg umysłowéj jego wiedzy; niejedna świéżo poczęta myśl, pobudziłaby go do reflexji i zastanowienia się nad samym sobą, a przez nią wieśniak jak każdy człowiek, nabrałby poznania i świadomości rze-

czy, jednėm słowem *oświeciłby się, ucywilizował*. Że więc *lekarz* na tém tu stanowisku *czynném byłby* narzędziem *oświaty ludu*, zaprzeczyć temu niepodobna. A gdy jeszcze codziennego życia przykład, odpowiadać będzie wymaganiom i naturze tego posłannictwa, gdy wśród ludu strzecha takiego lekarza nie przestanie być przystępną i każdemu z włościan otwartą, gdy w każdém zetknieniu stoicka cierpliwość i wyrozumienie, nie przestaną być znamieniem i cechą jego obejścia i obcowania; wówczas lekarz ten stałby się tą niezbędną, w przygodach życia potrzebną, gotową do ofiar dla ludu figurą, która tylko z zacnym proboszczem, jedynym dziś wieśniaka przyjacielem, w paraleli staćby mogła.

Zapewne nikomu z nas lekarzy nie zdarzyło się na téj drodze zakreślonego tu posłannictwa spotkać i widzieć pracującego kolegę. Jest to dopiero *ideał*, którego zbliżoną rzeczywistość żeby dopatrzyć, należałoby się cofnąć do wieku pierwszéj jutrzenki, szerzącego się w Polsce chrześcjaństwa. Do téj epoki naszéj przeszłości, kiedy *bracia zakonni* wśród narodu jeszcze dzikiego, zaledwo co z pogaństwa oczyszczonego, roznosząc światło religji po świecie, leczyli zarazem dolegliwości ciała, a wśród niebezpieczeństw o własne życie, starali się bliskiém obcowaniem obyczaje ludu łagodzić i poprawiać. Od téj począwszy epoki w dalszém dziejowém przeobrażeniu, w dalszém rozwoju jego polityczno-społecznego życia, nowe powstać i nastręczyć się musiały sposoby i środki, prowadzące naród do źródła prawdy i moralnego wykształcenia. Dziś, kiedy wykształcenie to naukowe szeroko się w kraju naszym rozeszło, kiedy poczucie potrzeby światła każdego przenika, kiedy w takiém umysłów usposobieniu, rozjaśnienie wiedzy ludu naszego stało się interesem i *zaległym obowiązkiem na sumieniu naszéj przeszłości ciążącym*, któremu ogół krajowy obowiązany jest i pragnie zadość uczynić, czyliż urzeczywistnienie zakreślonego ideału nie byłoby jednym z najgłówniéjszych środków, prowadzących do ukształcenia lud wiejski? Postać taka wśród ludu wiejskiego uzacniłaby społeczne wieśniaków grono, odświeżyłaby życie towarzyskie, na jakie któż dotąd wpływał? kto je składał? kto w niém zwykle przewodził? Oto *żyd* z pobliskiego miasteczka, zwykle przyjaciel życzliwy wieśniaka, co mu na zastaw i na pięćdziesiąty procent pożycza pieniądze, a przy terminie pożyczki, naprzód darmo wierzyciela swego wódką uraczywszy, potém się z nim oblicza i rachuje; *karczmarz*, którego jedyną myślą i trudem jak najwięcéj we wsi wyszynkować wódki; *organista* lub *dziak kościelny*, co zwykle wygląda tylko dnia ślubu, chrzcin i pogrzebu, jako wydarzeń, datek i korzyść przynoszących; znajdujący się postój w ubogiéj chacie włościańskiéj, nie zakłócaż, nie podkopujeż spokojność całéj rodziny? *cyrulik wiejski*, co samopas frymarczy zdrowiem wieśniaczém; wreszcie *służba dworska*, niegdyś do dworu z chaty wzięta, teraz światowi bywalce, co pomiatają często krewnemi i z pochwytanych wrażeń plotą im nieraz duby smalone o świecie. Tacy to głównie członkowie *od wieków* składali i dziś składają wiejskiego ludu towarzystwo! Towarzystwo to jakie wnieść mogło wyobrażenia? jakie rozniecać światło? jaki z siebie dać mogło przykład i zachętę ku lepszemu? Kiedy członkowie jego bez oświaty i poznania, łakomi i chciwi, przesiąkli fałszem i obłudą, swój tylko na myśli mając interes i cel, temi narzędziami swoich usposobień i charakteru, łatwowierność i prostotę ludu na własną obrabiali i obrabiają korzyść. Gdy człowieka, co może więcéj moralnie wykształcić, co go może ocucić i łatwiéj, że tak powiem przeobrazić, jeśli nie towarzystwo w którém żyje i nie dóbr ludzi co je składa. Że więc włościanin przy tych warunkach pozostał tém, czém jest obecnie, dziwić się wypada, i niczemu innemu przypisać tego nie można, jak tylko dobremu usposobieniu, które na lud nasz wiejski zlała Opatrzność.

Temu cichemu, ale pełnemu mozołu i trudów stanowisku, nikt by z nas pomimo światła nauki, ani odpowiedzieć, ani podołać nie umiał. W innych od dzieciństwa żyjąc warunkach społecznych, dalecy i nieprzywykli do obej-

ścia z ludem, nie pojmujemy i nie rozumiemy jego prostoty, i dla tego nie umielibyśmy się do jego pojęć i potrzeb nagiąć i zastosować. Na to potrzeba człowieka, coby pod włościańską zrodzony strzechą, strawiwszy młodość na nauce swego zawodu, z całą świeżością rodzinnego uczucia, wrócił do rodzicielskiéj i ojczystéj zagrody. *Człowieka*, coby z pełném sercem współczucia dla swoich braci, serdeczną w niém zachował miłość dla ludu. *Człowieka*, coby przynosząc ulgę schorzałemu wieśniakowi, nie spuszczał z myśli, że jego obejście i obcowanie, jego wtajemniczenie się, zespolenie z życiem ludu, że przykład jego życia, wszystko to równie jak leczenie ma być *nierozdzielném zadaniem* jego posłannictwa. Na to potrzeba *człowieka*, coby swym braciom nabytą naukę i czas życia poświęcił, a takiem przejęty i ożywiony uczuciem, któryby się nie zrażał, że między niemi zamiast współczucia i zaufania, nieraz znajdzie niechęć, podejrzliwość i nieufność, znajdzie trudności i opór, który tylko wytrwała cierpliwość przezwyciężyć może. Słowem, potrzeba na tém stanowisku *człowieka*, coby na korzyść pogrążonego w ciemnocie i niewiadomości ludu, zrobił z siebie *ofiarę*.

Miałżeby człowiek z tém posłannictwem i celem życia, wymarzoną tylko być postacią? miałożby to być urojeniem do urzeczywistnienia niepodobném? Niezbyt jeszcze dawno nad tém rozmyślając, miałem to w przekonaniu mojém za *utopję*, za fantom ożywiony wyobraźnią współczucia mego dla ludu naszego. Dziś wszakże, gdy wszystkich oczy zwrócone do ludu, gdy jednomyślnie wszyscy silą się na sposoby i dążą do jak najprędszego wyzwolenia ludu naszego z niewiadomości, mam to nietylko za rzecz możebną, lecz która się zjiści i spełni, tém wcześniéj, tém prędzéj, im silniéjsze będzie parcie ducha czasu, im żywsze obudzi się poczucie odpowiedzialności za przeszłość ludu naszego.

Do spełnienia téj missji należałoby usposobić człowieka i materjalny jego życia byt zaopatrzyć, żeby od wieśniaków nic nie wymagał i nie potrzebował. Należałoby obmylić stałe i niezależne od kaprysu jego utrzymanie, żeby oddany swemu posłannictwu, nie opuszczał dla kawałka chleba wiejskiéj zagrody i z niéj się nigdzie nie oddalał, żeby Władze rządowe od wszelkich zajęć za obrębem wiejskiéj zagrody, raz na zawsze go uwolniły, żeby przy całéj swobodzie, jaką daje zapewnienie materjalnych potrzeb, czas życia temu jedynie poświęcił posłannictwu i w nim rozwinął cały szereg zlanych nań obowiązków.

Gdzie środki? gdzie fundusze? gdzie kapitały na utrzymanie tego rodzaju lekarzy? których do takiéj massy ludności wiejskiéj, jaką kraj nasz składa, niemałéj potrzeba liczby. Gdzie są źródła, gdy lud wiejski ubogi, zaledwie niezbędne życia potrzeby zaspokoić jest w możności? Gdy w dzisiejszym rzeczy stanie, całe siły zwrócić i wytężyć musi do wykupu zagrody? *Jest to kwestja społeczność kraju dotycząca*, nad którą stan obywatelski, jako najbliższy opiekun ludu, a ze swego stanowiska najlepiéj potrzeby włościan i zasoby ich zamożności znający, gdy tę kwestję z wielorakiego punktu roztrząsnąć i obejrzeć zechce, gdy lekarza ludu i jego posłannictwo za niezbędne i konieczne uzna, znajdą się źródła, znajdą środki, co bez uciążliwości dla ludu, zadość potrzebie i duchowi czasu uczynić zdołają.

HYGIENA WETERYNARYJNA.

Jak w medycynie, tak niemniéj w weterynarji hygiena stanowi wielki dział naukowy, mający na celu nie tylko zachowanie zwierząt domowych w stanie pożądanego zdrowia, ale nadto naucza i wskazuje zarazem najprzystępniéjsze sposoby polepszenia rasy zwierząt domowych, zachowania uznanych za dobre, stworzenia nowych, ich rozmnażania, hodowania, oswojenia i wprowadzenia zagranicznych, o ile to nie sprzeciwia się naszemu klimatowi. Zadaniem hygieny weterynaryjnéj jest także umiejętne podanie sposobów, jak należy tuczyć zwie-

Dodatek do Nr. 16 Przyjaciela Zdrowia.

Czytamy w Nrze 19 Tygodnika Lekarskiego:

Warszawa, dnia 7 Maja.

Medice cura te ipsum! możnaby rzec do ciała lekarskiego warszawskiego. Ciało to, jakkolwiek z różnych złożone żywiołów, dotychczas zdrowo się trzymało; jego zewnętrzna postać czerstwa, wskazywała, że zdrowe soki krążą w jego żyłach, że rdzeń był żywotny, czysty i krzepki. Otóż od niedawna zakradła się szpetna choroba, która grozi spodleniem, poniżeniem. Szarlatanizm, reklama, jak bezczelna nierządnica, włóczy się po dziennikach, między doniesieniami o wygubianiu robactwa i o osiołkach do sprzedania; nakładłszy fałszu na lica, kłamie, wabiąc udanemi wdzięki. Sromotny ten wrzód, zaszczepiony jak przymiot z obczyzny, grozi rozszerzeniem i kachexyą. Jestże to objaw wewnętrznego zepsucia, czyli też postępu tak zwanéj cywilizacyi Zachodu? Ani jedno ani drugie! Znamy nadto dobrze żywioły ciała lekarskiego warszawskiego; nie z ich to łona wyszły te plugawe narośla. Owszem jesteśmy mocno przekonani, że ciało to wewnętrzną siłą swéj żywotności zdoła oprzéć się zakażeniu, że okrywając wzgardą, odtrąci od siebie zwycięzko to, co doń ani sposobem myślenia, ani wykształceniem uczuć moralnych nie przystaje, co z obcych stron naszło, zawsze mu obce pozostanie. Bezsilne miotanie się zarozumiałości, jarmarczne krzyki niedołężnych umysłów, nie umiejących godziwą a godną pracą dorobić się uznania, nie znajdą nawet stałego poparcia w publiczności naszéj, która rzadkim taktem umié wynajdywać, uszanować i oceniać najskromniéjszą, ale rzetelną naukę. Hałas narobiony skandalem, pobawi czas jakiś chciwą skandalu i emocyj gawiedź, głośna trąba samochwalstwa pociągnie łatwowiernych i szukających cudów; ale krótkie panowanie tego tryumfu, a wraz za tém smutne rozczarowanie wskażą, po niewczasie niestety, że nie u nas pora i pole do tego rodzaju spekulacyj. Wybryki szarlataneryi nie mają nawet u nas usprawiedliwienia w postępowaniu starszych kolegów, posiadających wzięcie i wyższe społeczne stanowisko. Nietylko między sobą lekarze warszawscy zachowywali i zachowują prawdziwie koleżeńskie stosunki, przynoszące zaszczyt stanowi i będące podstawą jego godności, dalekie zarówno od wzajemnéj admiracyi, jakoteż od wzajemnego poniżania się; ale jeszcze odznaczali się chętném podawaniem dłoni początkującym, ile razy poznawali w nich prawdziwą zdolność, naukę i szlachetne dążenia. Pochodząc z najrozmaitszych szkół lekarskich, umieli godzić swe opinie ze świętością swego powołania, z wymaganiami praktyki i z poszanowaniem stanu; zawiść z przyczyny powodzenia drugich była u nas nie znaną, albo tłumioną przez wzajemne zbliżenie i zapoznawanie się. Towarzystwo lekarskie *przyciągało* oniemal młodych pracowników, otwierając im pole swobodnego bronienia swych zasad naukowych, pole popisu dla swych prac i wiadomości. Pisma lekarskie stały otworem dla wszystkich, i powiemy to, nie obawiając się posądzenia o samochwalstwo, że w piśmie naszém nie jedno imię najprzód dało się poznać kolegom, zanim późniéjsze zbliżenie się pozwoliło należycie ocenić wiedzę i zdolności młodego kolegi. Trudniéj zapewne dziś młodemu lekarzowi wyrobić sobie stanowisko, aniżeli przed laty dwudziestu, ale i dziś

widzimy liczne przykłady, że uczciwa, wytrwała i ufna w siebie praca, znajduje uznanie, a jeżeli jednemu i drugiemu wcześniéj przed innymi uda się zyskać wziętość, to to powodzenie zwykle o tyle jest trwałém, o ile jest poparte przez rzeczywiste zdolności, pracę, zasługę. Szarlataneryą i reklamą nikt jeszcze u nas nie dostąpił zaszczytnego ani korzystnego stanowiska i nie dostąpi téż rychło. Jeżeli wśród cywilizacyi Zachodu, wyrodził się ów wrzód toczący za granicą stan lekarski, to nie jest on wszakże bezpośrednim téj cywilizacyi skutkiem. Jak nikt nie powié, że kąkol rośnie *dlatego*, że pszenicę sieją, tak też nikt utrzymywać nie może, że szarlatanerya wkradła się do nas dlatego, że we Francyi, Anglii lub w Niemczech, szukamy uzupełnienia naszych studyów i wiadomości. Wśród tłumu garnących się do nauki, wszędzie znajdą się niesumienni, którzy nie dla wiedzy i społecznego pożytku, ale jedynie przez marne osobiste widoki, pragną jak najprędzéj, chociażby pozorném wykształceniem zyskać uniwersytecki stopień. Wszedłszy w życie praktyczne bez należytego usposobienia, widząc się codzień prześciganymi przez lepszych, nie mając wewnętrznych zasobów do uczciwego, cierpliwego spółubiegania się, rzucają się na drogę łatwego zysku, przyjmując za godło: *vulgus vult decipi, ergo decipiatur.* Bo cóż znaczy homeopatya, albo ogłaszanie o wynalezieniu plastru leczącego wszystkie choroby? Taki lekodziéj, albo wierzy, albo nie wierzy w głoszone przez siebie cuda. Jeżeli wierzy, co rzadko się zdarza, to pusta głowa; jeżeli nie wierzy, to oszust.

Pozostawmy zresztą rycerzy przemysłowych losowi, który sobie sami gotują, pozostańmy przy zasadzie, że kto pokocha naukę, tego nauka pokocha, kto kocha pracę, tego praca wynagrodzi, że jeżeli nie uda się zyskać wziętość, dostatki, to pozostanie szacunek kolegów i spółobywateli, a co najważniéjsza, czyste, nieskażone sumienie.

Redakcja Przyjaciela Zdrowia odpowiada anonimowi w następujący sposób:

> „Ciężkić jest kamień, i piasek ważny, ale gniéw głupiego cięższy niż to oboje."
>
> Przyp. Sal. r. 27, w. 3.

Słusznie jakiś *anonim* powiada w artykule wstępnym tygodnika lekarskiego, w Nrze 19, z dnia 8go Maja, „medice cura te ipsum!" Gdyby był pomyślał, nad następstwami swojego wystąpienia i lepiéj przeżuł to co napisał, może by przestraszył się na widok występujących prawd, które rozmyślnie i tak głęboko starał się ukryć, — może by zatrwożył się widząc tonące na dnie fałsze, z któremi tak wystąpił!!

Autor niewiadomy, w kontynuacji przyjętéj przez poprzedników swoich taktyki, obrał sobie fałsz za drogę najlepszą, najpewniéjszą i najkrótszą! Kto raz popadł w kłamstwo, ten ciągle kłamać musi; logika, sumienne zbadanie prawdy, to za mozolne, za niebezpieczne, bo kompromitujące! Przyznanie się do błędu, publiczne oddanie sprawiedliwości, to jeszcze okropniejsze, bo poniżające! Co to może fałszywy wstyd!... Co to za nieszczęście, jak się raz wejdzie na drogę kłamstwa!!!... Nie mogąc inaczéj, trzeba sadzić ogólnikami, fałszem, wyrazami, wyrażeniami na prawo i na lewo, zkądkolwiekby one pochodziły, gdyby nawet z bruku ulic, — mniejsza, wszelka broń dobra, byle nią dotkliwie ranić! Ogólniki nic nie dowodzą, a anonim unika dowodzenia. Idzie mu o zagłuszenie prawdy, a wie że ogólniki ją zabijają. Nikt nie przeczy, że istota t. j. ciało lekarskie Warszawskie, o którem mówi anonim, trzyma się dotąd zdrowo i czerstwo, żeby pewnych pozycji socjalnych nie zajmowało i korzyści osobistych nie ciągnęło. Istota ta, dla tego dotąd była zdrową, że się jéj nikt nie oparł, że absolutnie potępiała lub wieńczyła. Dzisiaj znalazł się opór, więc istota trwoży się, jest w obawie. Nieboga!... Postrzegając zachwianie swego stanowiska, broni się z całych sił — fałszem! Przeciwnikom téj istoty, nie idzie o fortunę, ani o powiększenie praktyki,

ani o pozycję socjalną, ani o imię; bo mają i jedno i drugie. Idzie im o wykrycie kto jest szarlatanem, zkąd pochodzi wrzód, który toczy ciało lekarskie Warszawskie, że nie pochodzi z zachodu, ale w Warszawie i w niém samém zrodził się, że ta *istota* pielęgnuje go, hoduje na zatratę tego, co jest poczciwą prawdą. Niech zjawi się nowy zdolny lekarz w Warszawie, niech wspomni o nim publiczność, *istota* ta zaczyna taktykę od zaproponowania mu miejsca korzystnego na prowincji, Jeżeli téj łaski nie przyjął, już został wrogiem téj *istoty*! Wnet pokątnie dogryza i przed publicznością szkaluje, pod pozorem braku doświadczenia, wieku, nauki!... Jeżeli to nie pomaga, niebawem z pośrodka téj *istoty* wbrew temu co o sobie i ojcowskiéj godności swojéj sławi, wystąpi plugawa gadzina co go utnie i do ziemi przybije! Biada ofierze, jeżeli powstając upomni się o słuszność i wymiar sprawiedliwości. Nie powié *istota*, że sama zaczęła, że zawiniła, ale zmyka do swojéj chorągwi i tam całém gardłem wrzeszczy „a to zuchwały!... śmiał odpowiedziéć.... posunął się do impertynencji, szarlatan!!!...“ i tym podobnie. Wnet na głos takiéj skargi, (a idzie o kąsek tłusty), drugi gad występuje, a za nim trzeci *sapientissimus! szarlatanissimus!!* i pastwią się nad ofiarą! Co mówię, nie mogąc pojedyńczo, nie mogąc w kilku, massą ta *istota* sprzysięga się na jednego. Przestaje z nim bywać na konsyljach, przekonana że tém go dobije. Powiada anonim, że starsi dopomagają młodszym; bajka! Starsi, młodszych dla dogodzenia własnéj próżności, za sekretarzy przybocznych poniekąd trzymają, t. j. trzymają ich do pisania recept, ale do niczego więcéj.... Powiada anonim że przyciągano *oniemal* (!!) młodych pracowników, — fałsz!!!... Przecież przedstawiono niedawno pracę, zdającą sprawę ze słabości (z wyrażeniem osoby, miejsca i czasu) któréj żaden z téj *istoty* nie obserwował, a leczył i nie wyleczył bo na niéj nie poznał się! Istota nie czytając odrzuciła tę pracę — w przekonaniu że przeciwnik jéj innéj drogi nie znajdzie. Musiał on przeprowadzić sprawę, za pośrednictwem dzienników, gdyż legalną drogę zamknięto mu rozmyślnie, *a szło o nietrzymanie w sekrecie słabości tu niepoznanéj i o nietajenie środka przeciwko takowéj*, a więc anonim w krzyk, potępiać tak zwane przez niego reklamy, głosząc że to wszystko szarlatanerja! A jednak przebudziły go reklamy, widać że czytuje artykuły gdzie mowa *o robactwie i o osiołkach*!! (1) Zamiast tedy dowieść, że słabość ta nie jest tu nową, anonim ogólnikami i kłamstwem odpowiada, jak „*nierządnica nakładszy fałszu na lica*“ (2) bezczelnie udając dziewiczą niewinność!!!...

Boi się anonim dotknąć pracy swego przeciwnika, bo ta parzy jak złego ducha woda święcona. Plugawy okruch robaczywego ciała! Wstyd mu, że przeciwnik jego występuje z prawdą i że zdziera zasłonę. Powiada „*hałas narobiony skandalem pobawi czas jakiś chciwą skandalu gawiedź, a głośna trąba samochwalstwa pociągnie łatwowiernych i szukających cudów!*“ Zapomniał, że fakta będące przyczyną sporu, są prawdą, że są już własnością publiczną, że są pod sądem publicznym i że wystąpienie z prawdą nie jest samochwalstwem, a dowiedzione fakta, które każdy sprawdzić może, nie są cudami! Jeżeli okaże się praca nie należącego do chorągwi *istoty*, praca ta bez czytania jest odrzuconą, z dodatkiem „on daléj nie pójdzie, a jeżeli wystąpi, to krzyknie się, że to szarlatanerja i zwycięży się!“ Zapomniał anonim, *że przeciwnik z prawdą* na czole wszędzie pójdzie, bo przekonany, że jak Bóg jest wszędzie i na każdem miejscu, tak i dla przeprowadzenia prawdy, nie ma miejsca poniżającego!

Nie, — egoizm, wrzód i szarlatenerja nie przyszły z tego źródła o którem mówi anonim w Tygodniku Lekarskim, bodaj czy nie wylęgły się one jak glisty wewnątrz, w żołądku a raczej w trzewiach Europy, i z tamtąd przy-

(1) Wyrażenie anonima w Tygodniku lekarskim Nr. 19.

(2) Wyrażenie anonima w Tygodniku lekarskim Nr. 19.

wędrowały z patyczkiem w ręku do Polski, i z czasem napuszyły się jadem ropuchy, niebacząc, że w swoim czasie pękną... z wściekłości. Kłamstwo i plugawa spekulacja ztamtąd wychodzi. Jak pokonać nie można nauką i zdolnością, to pokątnie, ogólnikami lub kłamstwem bić i osobistość szarpać. Tą bronią nie zwycięża się! Prawda w oczy kole, — kłuć będzie, gryść będzie, ssać będzie, dopóki nie nastąpi oczyszczenie, dopóki nie wypleni się kąkolu, dopóki nie zabłyśnie Apostolstwo nauki i prawdy.

Och gdyby to nauczyć się na pamięć słów Salomonowych „Jako maść i kadzenie uwesela serce; tak słodkość przyjaciela uwesela więcéj, niż własna rada."

Przypowieści Salomona r. 27. w. 9.

A M E N.

W Drukarni Ig. Krokoszyńskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — Warszawa dnia 3 (15) Maja 1862 r.

rzęta na karm dla ludzi, jakie są sposoby przyczyniające się do zwiększenia mleczności krów; hygiena weterynaryjna sprowadza na zwierzęta nawet stan chorobliwy, jak np. zbyteczną tuszę całego organizmu, lub pojedynczych organów, jak np. wątroby u gęsi, w celu powiększenia ilości i jakości żywności, jakiéj potrzebuje człowiek i znajduje ją wśród domowych zwierząt, Otóż ważność téj nauki, z którą zamierzamy obznajomić Szanownych Czytelników wykładem systematycznym, a tym sposobem utworzyć jedną całość, niezbędnie potrzebną w ekonomji gospodarstwa. Gdyby nauka ta nie miała innego celu jak chronić domowe zwierzęta od wielu bardzo chorób, to tém samém oddałaby już bogactwu krajowemu niezmierne przysługi, bo znaczną część roku cały żyjący dobytek pozbawiony dwóch najważniéjszych żywiołów, jakiemi są wolne powietrze i przyrodzona żywność, zastąpić ma opieka ludzka, zasilona pożyteczną nauką, jaką jest hygiena weterynaryjna.

Wszystko, czém nas obdarzyła Opatrzność, jest mniéj więcéj surowym kapitałem bogactwa. W téj liczbie domowe zwierzęta stanowią nader ważną rubrykę, do rozumu zaś ludzkiego należy umiejętne pomnożenie jéj; umiejętność ta zależy od hygienicznego hodowania domowych zwierząt, bez czego wewnętrzne bogactwo kraju istnieć nie może. W artykule o żywności powiedzieliśmy w skróceniu, że od lat stu głód jest rzadszy, i że, jak utrzymuje p. Boudain, szczęśliwą tę zmianę przypisać należy nowym artykułom żywności, jakiemi są ziemniaki, rozmaite jarzyny i *spożywanie większéj ilości mięsa*. Czy godzi się przypuszczać, że głód, mór, zarazy, mogą w przyszłości nawiedzić ród ludzki, — trudno na to odpowiedzieć zawsze jednak zachowajmy w pamięci, że zaraza i pomory często zdarzały się w Polsce; opisy o nich znajdujemy w kronikach; główną przyczynę tych plag przypisywano napadom tatarów, sprowadzających zarazy, wytępiających i uprowadzających mieszkańców kraju. Dr. Ludwik Gąsiorowski w Poznaniu, w szacownem swojém dziele: *„Zbiór wiadomości do historji sztuki lekarskiéj w Polsce“* 1839 wydaném, przechodząc okresami dzieje Polski, z wielką starannością i gruntowną znajomością rzeczy ułożył porządkiem chronologicznym wiadomość o morach w Polsce. Otóż z uczonego tego dzieła dowiadujemy się, że od r. 840 mamy już wiadomość w Prokoszu o powietrzu zjawionėm w Polsce po śmierci księcia Popiela. Pisze Długosz, że w r. 985 był wielki głód, a z nim i wielka śmiertelność. Rzączyński w swojéj historji naturalnéj mówi o wielkim głodzie, przypadłym w r. 987; w r. 1003 i 1006 było morowe powietrze, a w r. 1007 głód i zaraza morowa w Polsce i innych krajach, słowem od roku 840 do 1334 nawiedziły Polskę 35 razy głód, pomór i zaraza, więc w przecięciu raz co lat 14, w środkowéj Europie wedle p. Boudain zaraza i pomór przypadały co lat 10. Od roku 1508 — 1622 przypadały rozmaite zarazy 34 razy, czyli raz co lat 3. W Wielko-Polsce napadł mór r. 1513 i trwał przez lat 4. W samym Poznaniu przeszło 10,000 mieszkańców przez 2 lata wymarło (Susmilch i Rzączyński). W r. 1552 wielki głód, drogość i nadzwyczajna śmiertelność: korzec żyta płacono po złp. 28 (Grabowski, Opis Krakowa. Ł. Górnicki i Rzączyński); w r. 1552 zniszczyło morowe powietrze całe królestwo Polskie, Żmujdź i Litwę, osobliwie zaś Wilno i jego okolice. O niém Stryjkowski pisze: „Tegoż roku (1553) srogie, a jadowite powietrze w Wilnie panowało, dla którego byli mieszczanie pouciekali, gdzie kto mógł i t. d.“ a w r. 1571 mówi tenże Stryjkowski: „głód wielki w Litwie i Polsce panował tak, iż ludzie prości ścierw zdechłych bydląt i psów, naostatek umarłych ludzi trupy wygrzebując jedli, aczkolwiek zboże nie nazbyt drogie było. Poczém niezmierny mór nastał.“ W r. 1601—1602 okazała się pierwszy raz choroba nazwana kołtunem, i stała się miejscową, mylnie jednak zaliczoną do choroby polskiéj, narodowéj, nadwiślańskiéj, jak to zbijał w r. 1730 słynny i wielkiéj nauki lekarz króla Sasa Dr. Erndtel, w wyborném swojém dziele o Warszawie, do którego często na swoim miejscu uczynimy zwroty. Kołtun epidemicznie roz-

szedł się po całej Europie, nawiedził Hamburg, Greifswald, Paryż, Brytanję, prowincje nadreńskie, Alzację, Bryzgowję, Belgję, Węgry, Ruś czerwoną, mniejszą Tatarję, a nawet Neapol (1).

Polska, a z nią i narody słowiańskie są wielką rodziną rolniczą; niezmierne obszary ziemi, które od niepamiętnych wieków zamieszkały ludy słowiańskie, bogate są tém wszystkiém, co stanowi istotę rolnictwa, t. j. urodzajną ziemią i pięknemi rasami domowych zwierząt. — Polska w szczególności przez długie wieki była spiżarnią zamorskich i sąsiednich sobie obcych narodów. Miała w obfitości wszelkie zboża, miała piękne rasy koni, bydła i owiec.

W epoce Polski upadającéj dostrzega się, jak wraz z upadającym bytem politycznym, upadało bogactwo krajowe, handel, rolnictwo i należące doń rasy domowych zwierząt, czystéj krwi polskiéj. — Inne narody wzniósłszy się w potęgę, górowały nad Polską dobrym bytem, oświatą, handlem, przemysłem, rolnictwem, poprawą ras bydła, koni, owiec i t. d., że dawno już od nich uczyć się nam należy, po długim, przeszło dwuwiekowym letargu. — Nauka weterynarji w Polsce nie była zaniedbaną; od r. 1501 pozostały dzieła różnych autorów zajmujących się tą nauką (2), jak *hyppika*, to jest o koniach księga, Krzysztofa Dorohostajskiego, marszałka W. Litewskiego, urodzonego z wojewody płockiego Mikołaja Moniwida Olechowicza, ofiarowana Zygmuntowi III. królowi polskiemu. Dzieło to jest bardzo obszerne i bardzo szacowne. W bliższych dopiero nas czasach, weterynarja, a oraz hygiena domowych zwierząt stała się przedmiotem wyłącznym ludzi nauki; ta ostatnia szczególniéj zajmować nas będzie, bo mamy to niezmienne przeświadczenie, że hygiena usuwając przyczyny główne i szczegółowe wielu bardzo chorób ludzi i zwierząt, więcéj przyczynia się do rozwoju potęgi zdrowia i pomyślności każdego narodu, jak medycyna i weterynarja właściwe, leczące pojawiające się tylko choroby. Ona to bada naturę chorób epizotycznych u zwierząt, zależących prawie zawsze od wpływów zewnętrznych, które jak usunąć i jak ochronić ich powrotu, najjaśniéj wykazuje. Hygiena, a nie weterynarja właściwa naucza, jak umiejętnym jéj zastosowaniem obejdzie się bez lekarstw w wielu bardzo chorobach wewnętrznych domowych zwierząt, i jak z jéj pomocą udają się na zwierzętach najdelikatniéjsze operacje chirurgiczne. Zresztą zgodzi się z nami każdy ziemianin, że bezporównania łatwiéj i właściwiéj jest hodować domowe zwierzęta w stanie pożądanego zdrowia, podług zasad hygieny, jak leczyć je w chorobach podług zasad sztuki lekarsko-weterynaryjnéj. Wszystkie korzyści są na stronie pierwszéj, a cała strata czasu, pracy zwierzęcia, zachodu, wydatku na niekorzyść drugiéj.

Zajmiemy więc uwagę Szanownych Ziemian w szczególności nauką hygieny domowych zwierząt, przechodząc po kolei ważne działy: 1) chowu zwierząt w ich wieku wzrostu, 2) wykształcenia ich na pożyteczne ludziom zwierzęta, 3) tuczenia, 4) staranności około domowych zwierząt, 5) i ich mnożenia.

(1) Z dzieła L. Gąsiorowskiego, Zbiór wiadomości do historji sztuki lekarskiéj w Polsce, Poznań, 1839.

(2) Tamże.

BIEDNY PIOTR.

(Dokończenie).

„W strasznéj samotności oczekiwały mnie inne jeszcze nieszczęścia. Aby schronić biedną moją głowę od żarzących upałów słonecznych, z największą starannością wystawiłem sobie namiot, ale wypędzony z niego zostałem przez dzikiego, co go osądził być wygodniéjszym od swojego własnego. Już téż starzałem się, a upał w połączeniu z błotnistemi wyziewami lasów odbierały mi całą moc obrony, — dzielność muskularna opuszczała mnie. Jakiś nieznany mi smutek otaczał mnie dzień i noc, a złe wyziewy niepozwalały mi wolno ode-

tchnąć. We śnie co chwila przebudzały mnie skrzeczenia płazów wodnych, jęki puszczyków, i przerażające krzyki szakali, przypominające mi boleśne jęki, jakby męczonych dzieci. Zmęczony, uczułem w duszy potrzebę dla jéj czułości stosunków towarzyskich. Opuściłem puszczę i uciekłem do miast pod opiekę prawa. Ale jeżeli błogo jest wyswobodzić się ze szponów panter i lwów, oh! jakże niebezpiecznie jest wpaść w ręce ludzi! Przyłączyłem się do kupców maurytańskich, których duch spekulacji sprowadził do kraju rządzonego przez króla Achontisa, czém zapewniłem sobie utrzymanie. Zapewne słyszeliście o tych ludziach, tak dalece wyrosłych przesądami w barbarzyństwie, że z uniesieniem radości zabijają swoich bliźnich, i z zachwyceniem słuchają dźwięku trąb, towarzyszącego uroczystości ćwiertowania i mordowania żywych ciał ludzi. Wszystko aż do tańca jest u nich przesadzone, potworne, patrząc na tańczących zdaje się, że oszaleli, a w ich pieśniach zagłusza krzyk mordu. Z powodu przypadającéj uroczystości zażądano mojéj głowy, a ciało ofiarowano drapieżnemu ptastwu. Oczekując téj uroczystości, zamknięty byłem w ciemném więzieniu, zkąd na kilka godzin wychodziłem codziennie, do najbardziéj poniżającéj pracy. Jaka zmiana losu! w Azji byłem wodzem wojsk, niewolnikiem w Afryce!

W tak smutném położeniu, zbawienie moje zawdzięczam wzniosłéj nauce, którą wyznawałem. Gdybym był uniżył się i żebrał litości, nie uniknąłbym obmyślonego, strasznego dla mnie losu; ale nic tak nie rozbraja tyraństwa, jak odważna spokojność, bez najmniéjszego cienia trwogi. Gdzie *siła* jest wszystkiém, bezwładny nawet opór upokarza ją. Przedstawiono mnie królowi i niewzruszony mój stoicyzm rozbroił go: zostałem ułaskawiony. Król chciał mnie zaszczycić godnością dworską, ale jéj nie przyjąłem, bo wyrzekłem się wszelkiego szczęścia. W tym stanie, niezbadanym sposobem, po tylu latach miłość ojczyzny poraz pierwszy wstrząsnęła moją duszą; uczucie to zawrzało w mojém sercu. Biada — filozofom w Afryce! nie ma tam żadnych skarbów duchowych, a spotęgowanie myśli w nieludzkich tych krajach, jest — niepodobieństwem.

Na téj ziemi, gdzie oddycha się żarem wulkanicznego powietrza, mnóstwo najzjadliwszych drobnych żywiątek tworzy się w około człowieka; nieustanna ich obecność wstrzymuje wszelki rozwój myśli. Opuszczając tę ziemię ucisku i niewoli, lotem ptaka zmierzałem do Europy; w kilka miesięcy powitałem ląd stały, a oraz na zawsze pożegnałem żarem ziejącą przyrodę, tę nieubłaganą nieprzyjaciółkę — myśli. O! gdybyście wiedzieli, ile ja ucierpiałem, nim dotknąłem się brzegów Francji?! Wszędzie uważano mnie za tułacza, wszędzie odpychano mnie. — Zwierzęta spokojne są w swych schronieniach, najnikczemniejsi służalce śpią spokojnie pod dachem swoich panów — dla mnie tylko jednego wszystkie drzwi i wszystkie serca były zamknięte. Od lat 50 zawsze utrzymywałem się z pracy własnéj, nauczając drugich. Na okrętach, jak niemniéj wśród ludów najmniéj ucywilizowanych, uczyłem pisać, czytać, geometrji, rachunków i t. d. Tam filozofji mojéj nie zrozumiano. Tylko nieszczęśliwi są w stanie z niéj korzystać! Po tylu latach podróży i tylu niebezpieczeństwach aż tu przywlekłem ciężar mojego wieku. Przybyłem do Paryża, do téj sławnéj stolicy, pełnéj zachwytu, siedliska nędzy i zbytku, do tego schronienia intryg i talentów, gdzie jest tyle karmi dla umysłu, gdzie genjusz nieustannie rozpładnia się, dokąd wszystko zmierza by — zgasnąć, gdzie wszystko doskonali się, aby ustąpić z miejsca, — do tego miasta, jako zbiorowego punktu wszystkich narodów, wszystkich ludzi, słusznie nazwanego przez znamienitego badacza *„wielkim hotelem europejskim.“* Otóż moi przyjaciele macie przed sobą człowieka, co miał wszystko na świecie, i wszystko postradał, — człowieka, co był igrzyskiem zaprzysięgłéj, płochéj miłości i zdradzieckich ofiar przyjaźni. Takim go macie przed sobą, na co go wyniosła duma. Widzicie tedy, do jakiego to kresu przywodzi ideał — bożyszcze, dla którego tyle poświęciłem!“ — Wymawiając

te słowa, odsłonił swoje piersi i ręce poorane bliznami, świadczącemi o walkach, odsłonił swoje czoło świecące łysiną, na której ślady dawnych namiętności były widoczne w odznaczających się zmarszczkach. — Na ten widok wszyscy słuchacze — zapłakali. A bardziéj jeszcze ich wzruszył, dodając głosem pełnym uczucia te ostatnie słowa: „Moi drodzy, wkrótce was pożegnam na zawsze. Już z różnych symptomatów przeczuwam koniec mojego życia. Zdaje mi się, że dusze tych wszystkich, co umarli w tym szpitalu, wznoszą się nad moją głową, gotowe przyjąć mnie do siebie. Nogi już drżą podemną, przed mojemi oczami nasuwa się jakaś zasłona, wkrótce nie będę cieszyć się nawet widokiem przyrody. Nie myślę naśladować nawet mojego mistrza Zenona, co z chęci prędszego oddychania bóstwem, co nań czekało, dał zwyciężyć się głodowi, ja, na granicy życia czekać będę na — śmierć.“

Nikt nie spostrzegł wśród tego zajmującego opowiadania, że cała noc już ubiegła. Swiatła po salach już zagasły, zbladł blask gorejących płomieniami gwiazd, już dzionek wychylał główkę z za złotych obsłonek, a chorzy jeszcze byli pod wpływem czaru spowodowanego słowami Piotra. Z żalem wszystkich jutrzenka rozproszyła zaciekawioną rzeszę. Każdy ze słuchaczy udał się na spoczynek, niosąc w swojém sercu spokój i pociechę. Ostatnie jednak słowa stoika, zmartwiły wszystkich. Jakoż przeczucie nie omyliło go: upadał na zdrowiu w sposób przyspieszony. Sen opuścił go, uciekano się więc do środków sztucznych: mimo nich spał niespokojnie i przerywanie. W zachowaniu swojego zdrowia był Piotr przesądny, namiętnie lubił chodzić, aby ciągle był w ruchu, a że po korytarzach i przechadzkach szpitalowych chodził wielkiemi i prędkiemi krokami, rana którą miał na nodze niezmiernie rozjątrzyła się. Miał też zwyczaj chodzenia z gołą głową, bez względu na stan powietrza, a szczególniejszą znajdował przyjemność kąpania swojéj głowy w promieniach słonecznych, potem zaś pił bardzo zimną wodę, którą nazywał „tyzanną filozofów portyckich.“ Wiele jest bardzo szacownych środków pospolitych, wpływających na przedłużenie życia, gdyby je Piotr był zaszanował, i dla siebie samego nie był zbyt surowym, to niezawodnie przedłużyłby swoje życie, jak to czynili Krysip i Kleancjusz, starożytni sekciarze. Być też może, że zmiana życia wiele wpłynęła na upadek jego sił i zdrowia.

Często nam powtarzał: ten szpital niezmiernie mnie krępuje, żyłem zawsze w przestrzeni bez granic, nie dla mnie też to powietrze, którém wy oddychacie. Mieszkańcy ziemi nie pojmują rozkoszy doznawanéj od żeglarzy. Ich życie jest w nieustannym ruchu. Co do mnie, wyznaję, że w tym szpitalu doznaję takiego samego uczucia żalu, jak rozbitek rzucony falą burzy na skałę, gdzie ma skończyć życie.

W życiu naszém jest pewna chwila przesilenia, w której upada nawet niezachwiany fizyczny organizm stoika. Piotr zniósł wszystkie cierpienia, wycieńczające jego ciało. A odkąd został przymuszony położyć się w łóżko, opuściła szpital radość, pomoc i pociecha. Nieszczęśliwi chorzy podniesieni w upadku męztwem Piotra, na nowo upadli na duchu. Rozmawiano między sobą po cichu i z trwogą, a z największą niespokojnością dopytywano się o zdrowie stoika, lub gromadnie odwiedzano go. Z troskliwości o chorego, nieodstępne siostry oddalały jak mogły odwiedzających. Piotr jednak, zdawało się, że nie pojmował tych jawnych dla siebie dowodów czci, za które dziękował łagodném spojrzeniem i pełnym dobroci wyrazem twarzy. W kilka dni stan jego tak pogorszył się, że przeniesiono go na salę — konających. Było to w onczas w zwyczaju odłączać dogorywających od tych, którym widok ostatnich chwil życia konającego mógłby pogorszyć stan konwalescencji i wyzdrowienia. Wnętrze tego ostatniego już schronienia ziemskiego, przejmowało najboleśniéjszem wrażeniem; tam słychać tylko ostatnie tchnienie umierających, cichy szept przy łóżku chorego odmawianych modłów do Wszechmocnego Boga, tam odbywa się przed sługą bożym ostatnie oczyszczanie sumienia, tam widzi się ostatnie

poruszenia duszy, wywołane powodem świętéj religji, tam stateczna miłość, przyjaźń powierzają swoje tajemnice, rozporządzają swoją ostatnią wolą, — bo nie ma zapewne na ziemi tak nieszczęśliwego, tak biednego człowieka, coby kogoś na świecie nie — kochał. Wszyscy ludzie we wszystkich warstwach społeczeństwa mają w każdym czasie swoją wolę i myśl dobroczynną. Wola ta i myśli umierających powierzane są czcigodnym *siostrom*, nieodstępnym towarzyszkom umierającego, do nich należy pocieszać krewnych, żądających szczątków nieboszczyka, i powtórzyć słowa zgasłego już dla nich uczucia, aby je z religijném poszanowaniem zachowali w pamięci. — Takie to miejsce przeznaczono dla Piotra.

W zakończeniu opowiemy z całą prawdą ostatnie chwile życia tego wzniosłego filozofa. Mimo silnéj gorączki nie był on na chwilę pozbawiony przytomności umysłu, ręce jego w ciągłym były ruchu, jakby chciał niemi schwytać uchodzące już życie. Lekarze nie znajdowali więcéj środka ratunku, radzono mu więc aby wyspowiadał się przed jałmużnikiem szpitala, co przyjął z najwyższém poddaniem się i postanowieniem. Obrząd ten odbył się z całą godnością, tém bardziéj, że Piotr będąc zdrowym miał zwyczaj spowiadać się przed sobą ze wszystkich swoich każdodziennych czynności, a był téż wielce nabożny. Codziennie sądził się, karcił lub pochwalał. Z uczuciem prawdziwéj wdzięczności przyjmował słowa religji, któremi go spowiednik pocieszał.

Spowiedź była często przerywana długiém milczeniem, podczas którego zbierał myśli, aby sobie dobrze wszystko przypomnieć. „Z łatwością, mówił, mogę otworzyć moją duszę, bo już w niéj nie ma zgryzot, długiemi cierpieniami odpokutowałem za moje grzechy. Nie wywołuję więc minionéj przeszłości, ale przypominam sobie stosunki zawiązane w tym szpitalu z temi poczciwemi choremi.“ Naonczas podniósł głos do chorych co go otaczali, napominając ich: „Moi drodzy przyjaciele! co znaczy to współczucie wasze dla mnie? ja tu przyszedłem, aby ukryć się, mogłemże przypuszczać, aby w tém miejscu miano opłakiwać moją śmierć? Z wdzięcznością zbieram wasze łzy, i bez żadnéj dumy, — a dlaczegóż żałujecie stoika? niech jego dusza wyjdzie z więzienia. Zobaczymy się znowu w lepszém życiu.“

Po tych słowach zebrał starzec siły i spokój, i zażądał, aby spisano testament. Jałmużnikowi ofiarował bambus, z którym przeżył długi szereg zmian losu; psa, ten najdroższy swój skarb, przeznaczył dotkniętemu leprą, którego uważał za najwięcéj godnego politowania. Ten zbliżył się do niego dziękując i błogosławiąc swemu dobroczyńcy. Po czém głosem niknącym i przerywanym przemówił: „już upadam — proszę was, zagrzebajcie mnie na cmentarzu tego szpitala, popiołami nieszczęśliwych pokryjcie niknące zwłoki, które wam zostawiam.“

Piotr już — nie żył. Na jego trupiéj twarzy zdawało się jeszcze, że jaśnieje odblask pięknéj i wzniosłéj jego duszy.

W opowiadaniu tém wiele opuszczono szczegółów dotyczących jego osoby, surowego sposobu życia, wiele przypowiastek, któremi obudzał ciekawość słuchających. Zauważono, że nie śmiał się nigdy, mimo że wewnętrzna radość malowała się na jego twarzy. Wielu z chorych niepojmujących wzniosłości jego nauki, żartowali sobie z niego, nigdy przecież nie karcił ich za to; na złośliwe dowcipy był wyrozumiały i obojętny. Jeżeli go kto obraził, nigdy nie dał tego poznać, a jeżeli w rozprawach chciano go zbijać lub przekonywać, za całą odpowiedź — milczał. Wszędzie, gdzie tylko groziła wybuchem dymiąca się waśń, niezgoda, lub zawiść, tam Piotr wpływem swoim łagodził rozwaśnione żywioły i przywracał pokój, zrazu ostro i mężnie, następnie mądrze i łagodnie. Zbytku nienawidził: kiedy raz przyniesiono mu piękne owoce i karafinkę doskonałego wina, daru tego nie przyjął; uważał to za pokusę wymierzoną przeciw jego zasadom i odpowiedział: „moje ciało więcéj ma, jak zasługuje.“ Godném jest uwagi, że dla natchnień jego duszy najprzyjaźniéjszą porą była noc rozjaśniona światłem księżyca. W dzień był milczący i myślący.

Pamięć o tym cnotliwym filozofie ze czcią zachowała się w szpitalu Śgo Ludwika, — a jeżeli zdarzył się jaki chory, znoszący mężnie swoją niedolę, cierpienia, to powtarzano: „on podobny jest do biednego Piotra!“

Dla męztwa moralnego nie ma granic: wschód, zachód, północ, południe zarówno mu sprzyjają. Natchnienie boże we wszystkich klimatach rodzi myśl, a od myśli do czynu jedna jest tylko droga, co wiedzie, jak nasz wieszcz powiedział: „od ziemi — prosto do Boga!“

HYGIENA PUBLICZNA.

O przyczynach niezdrowego powietrza w Mieście Warszawie.

Czystość domu — stróż.

(Dalszy ciąg.)

Wejdźmy naprzykład do jednego z tak licznych w Warszawie zaniedbanych domów. Już w bramie, czy sieni, razi nasze powonienie woń pochodząca z przeprowadzonéj przez nią rynny. Na podwórzu widziemy studnię o spruchniałéj, popękanéj, zieloną pleśnią i grzybem pokrytéj rurze, z któréj po kropelce sączy się woda i spada w obszerną kałużę błota, zastępującą miejsce wydartego pod nią bruku. Pokrycie studni zamazane jest gliną, tartą cegłą, popiołem, sadzami, a w około niéj walają się porozrzucane słomiane rogożowe wiechcie, ścierki i kawałki połamanych, zbutwiałych obręczy.

Opodal w końcu podwórza przedstawia się oku olbrzymi stóg śmieci. Z jednéj strony w połowie jego wysokości wyglądający wierzchołek słupka każe się domyślać, że tam była, lub jest skrzynia przeznaczona na ich skład; ale, że w takim domu wszystko przeciwnie się dzieje, zatém, zamiast ona śmiecie w sobie chować, to sama jest w śmieciach schowaną. Słupek ten, ulubione miejsce koguta, z którego zwołuje kury do rozgrzebywania po całém podwórzu śmieci, jest chlubném świadectwem dla gospodarza, że chociaż z nowości miał jakąś chętkę utrzymać swój dom w porządku. Ta sterta nagromadzona z użytków i nieużytków, z piasku, kurzu, błota, popiołu, sadzy, gruzu, żuzli, opiłków, fusów, trocin, wiórów, okrawków sukna, płótna, papieru, skóry, mięsa, knotów, skorup, łupin, kości, pierzy, korków, cytryn, zielska, obierzyn, słomy, siana, kłaków, indyczych łbów, nóg, rybich flaków, łuskwin, nieboszczyków kotów i psów, i tego wszystkiego, co w ogóle zowiemy śmieciami, — jest jak widziemy zbiorem materjałów roślinnych, zwierzęcych i mineralnych; a że każda codzień nałożona warstwa tego materjału zlaną bywa pomyjami i t. p. czyli, że ma w sobie wilgoć i brak jéj wewnątrz przystępu powietrza, więc rozgrzewa się, gnije, a z tego wyradza się plugawstwo i woń szkodliwa zdrowiu.

Sam widok podobnego śmietnika najobmierzléjszy czyni wstręt. Plugawe robactwo roi się i toczy co może, w porze letniéj miljardy much i różnego gatunku owadów, krążą po nad tém gnojowiskiem i brzęczą dziękczynny hymn gospodarzowi za dane im gniazdo i żer. Sam wzrok już w odległości ostrzega, aby się do tej zionącéj trucizną kopy nie zbliżać. Kto do niéj dostąpi, ten nietylko powonieniem, ale w płucach poczuje jad zabójczy. A przecież takich śmietników jest w naszém mieście tysiące!.....

W sąsiedztwie śmietnika zwykle bywa zabudowanie w każdym domu konieczne, o którém niepodobna nam pisać dość otwarcie w piśmie publiczném, przeznaczoném dla wszystkich. Zabudowań takich zupełnie porządnych nie mamy wcale w naszém mieście; zaledwie kilka moglibyśmy wymienić, gdzie chociaż w części dbano o porządek, o innych — strach wspomniéć! W takim domu, jakiego obraz tu skreślamy, zabudowanie to przez większą część roku jest niedostępne, po całych miesiącach nie oczyszczane, po całych latach nie wypróżniane, — to dosyć.

Trzecim wrogiem czystego powietrza, a zatém zdrowia, są rynny do zlewania pomyj. Zwykle umieszczane bywają przy ganku, lub oknach korytarzowych, zbudowane z materjału podlegającego spiesznemu rozkładowi, czyli

żepsuciu, przez co wywierają najszkodliwszy wpływ na czyste powietrze. Drewniana rynna wystawiona wewnątrz na ciągłą wilgoć, gnije, staje się gąbkowatą, nasyca się zlewkami, a będąc u góry zamkniętą, zionie na całe podwórze i korytarze, gdzie idą od niéj korytka do zlewu, gaz zabójczy. Zewnątrz wystawiona na operację słońca i mróz, skręca się, paczy, pęka i przepuszcza przez szpary pomyje, które bryzgają na podwórze, oraz nasycają wilgocią całą ścianę, przy któréj stoją zwykle budki przy bramach, należące także do téj kategorji.

Obejrzyjmy się teraz po całém podwórzu takiego domu, a ujrzemy, że zawalone jest śmieciami i gnojem. W jednym kącie pod ścianą leży kupa gruzu, przechowująca wilgoć, która sięga do okien pierwszego piętra. W drugim skrzynia do wapna, z nagromadzoną przez kilka miesięcy deszczową wodą, pokrytą już zielonym szlamem. Tu znów na chodniku zawalają przejście spróchniałe belki, które już i na spalenie się nie zdadzą, ale są schronieniem pająków, myszy i szczurów. Z pod mostków wyzierają żaby, siedzące w żółtém bagnie i oddychają przyjemną im wilgocią; tam znów przez wyrąbane progi w komórkach, wysypują się na podwórze wióry i słoma. Bruk, gdzie zlewają pomyje, a zlewają je zwykle w progu sieni, sześć łokci od rynsztoka wypłukany, wyszczerbiony, — między sterczącemi kamieniami w miejsce ziemi lub piasku, — gnije nać, obierzyny, kości, fusy, liście z herbaty, flaki z drobiu lub ryb, które szczury lub kaczki rozwłóczą po wszystkich kątach, cały zaś rynsztok napełniony i pokryty kożuchem starych, kisłych mydlin; dodajmy do tego, że zdarza się gospodarny właściciel, który trzyma drób', albo też dla przyjemności żony karmi na karnawał wieprzaka, a dopełnimy obraz każdego u nas niemal podwórza.

Omińmy komórki w których po dziesięć lat przesiąkłe wilgocią trociny, wióry, starta słoma butwieją i są legowiskiem robactwa. Omińmy mieszkania, bo o tym przedmiocie, jak zapowiedzieliśmy, oddzielnie mówić będziemy, a pójdźmy zwiedzić tylko te części domu, które do nadzoru stróża należą, gdyż o nim, a raczéj o jego obowiązkach wywierających wpływ na stan zdrowego powietrza jest tu mowa.

Wchodząc po schodach czujemy pod nogami gruzoły zeschniętego błota, które do nich przywarło i trzyma się od jesieni do wiosny, od wiosny do jesieni; ażeby się nie potknąć, skwapliwie chwytamy się poręczy, ale w téj chwili z obmierzieniem cofamy rękę, bo uczuwamy pod dłonią i palcami obrzydliwą powłokę brudu, ulepioną z kurzu i potu.

Pozbawieni téj pomocy musimy wstępować na schody z wielką ostrożnością, aby nie upaść przez owe guzy i nie zawalać sukni w kurzu, który w ich kątach i na słupkach wspierających poręcz swobodnie, spoczywa sobie od czasu ich budowy, aby się nie zaszargać w kałużach, które rozlewają sługi, niosąc na górę wodę, lub znosząc z góry pomyje.

Dostawszy się szczęśliwie na piętro, uderza nas zaduch, pochodzący z rynny pomyjowéj, umieszczonéj przy oknie oświetlającém schody. Jeżeli przy tém oknie nie ma rynny, natenczas zabite ono bywa na zawsze, bo gospodarz osądził, że korzystniéj jest (dla niego) przybić na zawsze okna gwoździami, aniżeli zepsutą zasuwkę lub haczyk naprawić.

Szyby tych okien są zawalane, zakurzone, zabłocone, okopciałe, — słowem, nigdy niemyte. Jeżeli los zrządzi, że kto szybę stłucze, — to gospodarz każe sobie za nią zapłacić, ale przez dobroć serca już nigdy w jéj miejsce nie każe innéj wprawić, i słusznie: znów może się zbić i po co kogo narażać na koszta? — zatém wiatr świszcze po korytarzach, a śnieg i deszcz zasypuje schody; dopiéro na naleganie lokatorów, — ku ogólnéj wygodzie miejsce szyby każe zabić deskami, — wprawdzie mniéj lokatorzy mają światła, ale za to nie wieje, więc milczą.

Parapet tych okien zwykle jest zasypany błotem, popiołem, zendrem lub cegłą, zawalany szuwaksem, zalany łojem i olejem, a przytém wypalony; albowiem słudzy czyszczą na nim obuwie, fajki, noże, oprawiają lichtarze i lampy, oraz nastawiają samowar.

Korytarze w zupełnéj są harmonji z tém, cośmy dotąd widzieli. Jak w sieni, na schodach, tak i tu ściany brudne, poobijane z tynku, zakurzone, osnute pajęczyną, i jeszcze brzydszemi nieczystościami. Na pułapie rozpostarte wielkie liszaje wilgoci, przeglądające się w zwierciedle kałuży, uprzedzają, że o piętro wyżéj stoi w tém miejscu rozeschnięta lub zgniła beczka z wodą, i że lokatorowie tegoż właśnie piętra za mało pamiętali o przyzwyczajeniu swoich buldogów i pudlów do czystości. Nie wchodząc wyżéj mamy przed oczami sprawdzenie tego domysłu, bo pod tym liszajem, tuż przy drzwiach kuchni stoi beczka po nieboszce kapuście, ze zgniłą deszczową wodą, szafel z pomyjami, a nieraz jeszcze mniéj delikatnie nazywające się naczynie, które od wczoraj nie miało szczęścia korzystać z dobrodziejstwa wentylacji. Powonienie jeszcze nie może rozróżnić rodzaju wyziewów, jakie je drażnią, dopiero o parę kroków daléj, przy ciemnéj, bez przewiewu komórce, w któréj dla wygodnisia umieszczoną jest *wygódka*, tak zwana od niewygody, na wzór łacińskiego *lucus* a *non lucendo*, pojmuje chemiczny skład owych woni powstających ze zgniłéj, przesyconéj kapuścianym kwasem deszczowéj wody, — pomyj i woni tych niewygód, które dały powód do nazwy owéj wygódki.

Im wyżéj wejdziemy (NB. zawsze w tym *wzorowym* domu), tém większe znajdujemy przyczyny zatrucia powietrza; bo biedniéjsi lokatorowie mniéj zwykle doznają troskliwości gospodarza (jeżeli kiedykolwiek bogatsi jéj doznają).

Pod strychem znajdujemy prawie to samo, co na podwórzu. Polepa wydeptana w kilku miejscach, zacieki sprowadzające wilgoć do mieszkania, i cała ta część domu zawaloną jest staremi gratami, zajętemi za komorne meblami, w których móle i myszy wygodne mają gniazdo, a koty legowisko. Tu znajdziemy spróchniałą trzcinę i słomę, stare koszyki, garnki z cuchnącemi pierzami, przemokłe sienniki i zapluskwione kolebki, oraz w daleko okropniéjszym stanie wszystkie niewygodne wygody niższego piętra, a przytém suszarnią gomułek i skórek zajęczych. Łatwo sobie wyobrazić, co za powietrze tworzy się pod rozpalonym dachem z owych mysich gniazd, kocich legowisk, sienników, gomółek, skórek i improwizowanych wygódek. Jeżeli nad ten wyziew znajdziesz na górze jeszcze silniéjszy, to tam pewnie jest gołębnik syna pana gospodarza, który w wolnych chwilach od nauki, od trzeciéj rano do szóstéj wieczór siedzi na dachu, świszcze przez palce jak lokomotywa i wywija gałganem uwiązanym na tyce, — co się zwie, jak nas objaśnił uradowany gospodarz tym szczęśliwym darem i powołaniem syna swego: „bujaniem gołębi.“

Wejście do piwnicy zwykle bywa ciemne, szczupłe, nizkie, spadziste, — niewygodne. Wchodząc tam, gdy stracimy światło dnia i tylko latarka zaledwie na parę kroków przed nami rozjaśnia drogę, jakaś ponurość, obawa nas ogarnia, i nie bez przyczyny, — wszystko bowiem co nas w téj ciemnicy otacza, objawia brak życia, — śmierć. Na samym wstępie do piwnicy, by nie zlecieć ze spadzistych, pousuwanych, wilgotnych schodów, chcesz się chwycić poręczy, ale się zawiedziesz, bo tam poręczy już nie ma, musisz więc chwytać się ściany zimnéj, mokréj, śliskiéj, przypominającéj ci grób. Po nad głową, pod nieoszalowanemi schodami wiszą torby pajęczyn, napełnione starym kurzem; — idąc daléj widziemy ściany szklniące się wilgocią, porosłe pleśnią i grzybami, okucia drzwi pordzewiałe, w kątach pełno śmieci, nieczystości. Ztamtąd zgniła jarzyna, spleśniała kapusta, nigdy się nie wynosi. Wióry i zbutwiałe naczynia już światła dnia nie ujrzą. Tam jest śpiżarnia szczurów, tchórzów i kun, tam bowiem przechowuje się mięso, drób' i dziczyzna, która dopóty leży, dopóki nie nabierze tak pożądanéj przez drugorzędne gastronomki *czujności;* tam jest skład sera, śledzi, świec łojowych i deszczowéj wody. Wszystko to zamknięte bez przystępu powietrza i światła, gnije, ropieje, butwieje i czyni powietrze duszne, cuchnące, i gdyby nie szczur, który się pod nogami przesunie, lub czasami nietoperz, co nad głową przeleci, mniemałbyś, że jesteś po za światem żyjących.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— Ciało ś. p. Hr. Walewskiéj nabalsamował w tych dniach Dr. L. Hirschfeld, professor anatomji, ze zwykłą łatwością i doskonałością.

W Drukarni Ig. Krokoszyńskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — Warszawa dnia 3 (15) Maja 1862 r.